

Dawid GŁODEK

SZTUKA OBŁĘDU

Dawid Głodek

SZTUKA OBŁĘDU

Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2017

Dawid Głodek

„Sztuka obłędu”

Copyright © by Dawid Głodek 2017

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o. o. 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Robert Rumak

Zdjęcie okładki © Fotolia - Alex Tihonov

Korekta: Anna Nawara, Marlena Rumak

Skład: Agnieszka Marzol

ISBN: 978-83-8119-141-8

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

http://wydawnictwo.psychoskok.pl

http://www.psychoskok.pl

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Siekacz po ukraińsku! 7

Ludzie maszerujący niczym kaczki w fabryce pinezek.....23

Trup, który śpiewał w operze 34

23.....41

Tytuł roboczy, nim coś mi w myśli wskoczy 46

Najprzyjemniejsza praca na świecie.....55

Przygoda miłosna 66

Samotnych umysłów nikt nie podlewa.....86

Starzy ludzie znają przykazania 96

Stolik nr 7.....103

Nie byle jaki Ronald 109

Ronald na dachu szaleństwa 115

Komendant Ronald Bishop 120

Nie byle jaki emeryt.....122

Rozwódka 128

Pół roku w kotle czarownicy.....138

Piñacolada 143

20:03.....149

Kobieta K 157

Myk, pstryk – pan elektryk 166

Skrzep, czyrak i szuja 175

Czarna wdowa 183

Bankrobbaaaa! 187

Orkiszowe gnomy 207

Świetliki 217

Z dedykacją dla wszystkich, którzy radzili mi bym robił to, co kocham.

Gdyby nie wy, mógłbym mieć teraz prawdziwą pracę.

Siekacz po ukraińsku!

Było kilka minut po dwudziestej pierwszej, gdy Bill skręcił z Szóstej i wjechał na podziemny parking tuż obok Milwaukee Airport. Otaczała go zupełna cisza, w której słyszał tylko własny oddech. Niebo tłoczyło się czerwonym zachodem słońca do bramy wjazdowej i odbijało w lusterkach samochodu. Bill spojrzał w jedno z nich, zacisnął dłonie na kierownicy i spokojnie wybrał miejsce obok jednego z filarów podtrzymujących Trust Tower Company. Było gorąco. Krople potu płynęły z jego brody wprost na owłosione piersi. Bill poruszał się wolno, ale doskonale wiedział, co robi. Zmierzał do celu, przeglądając swoje odbicie w szybach mijanych samochodów; przyjemna twarz – pomyślał. Tak mówiła o nim żona i teraz zdawał się wierzyć w jej słowa. Poznali się dawno, dawno temu. Boże, ile to już lat – myślał. Taka piękna z niej kobieta, cudowna, wierząca i chciała właśnie jego. Miał szczęście. Miewał szczęście.

Spokojnie czekał na przyjazd windy. Metalowy przycisk ugiął się pod jego grubym palcem, a z szybu wydostał się specyficzny odgłos pracujących metalowych elementów. Spojrzał na czubek buta, a następnie wytarł go o nogawkę. Porządna włoska robota zasługuje na to, by błyszczeć, więc Bill zawsze dbał o swoje obuwie. W jego lewej dłoni ciążyła niewielka, ale porządnie wypchana reklamówka. Krople potu utworzyły niewielką plamę przy guzikach kremowego polo.

Spojrzał na siebie w lustrze. Kiedy drzwi windy zasunęły się za jego plecami, przystąpił do dzieła – wyciągnął ze środka kolejną reklamówkę, do której zapakował zdjęte z siebie ubrania. Starał się przybrać zupełnie inny wygląd. Założył koszulę oraz granatowe spodnie z najlepszej jakości bawełny. Zastąpił także eleganckie, skórzane obuwie wygodnymi, sportowymi tenisówkami. Wciąż wyglądał szykownie. Na tyle, aby ktoś uznał go za szanowanego obywatela. Jednak wystarczająco inaczej, by nie poznała go żadna znajoma osoba. Włożył okulary, a następnie starannie przykleił sztuczne wąsy, które były wykonane perfekcyjnie – twórca przewidział nawet kilka siwych włosków, aby zatuszować ich sztuczność. Bill zapakował swoje rzeczy do nowej reklamówki i wsunął ją w szyb wyjściowy, znajdujący się w suficie windy. Jego ciężki paluch wznowił pracę urządzenia, które wjechało na ostatni poziom parkingu. Bill wiedział, że wszędzie otaczają go kamery i zdawał sobie sprawę, że jedna z nich skierowana jest wprost na windę. Nie szkodzi. Przewidział i to. Była zbyt wysoko, aby unieszkodliwić ją wcześniej, bez zwracania na siebie uwagi. Ochrona przewidziała, że każda z kamer musi znajdować się w zasięgu widzenia innej. Dlatego miał zupełnie inny plan. Tuż przed windą zatrzymał się dostawczy Ford, którego drzwi uchyliły się razem z rozsuwanymi drzwiami windy. Po chwili Bill znalazł się w jego wnętrzu. Kamera nie była w stanie uchwycić tego momentu. Dobrze, udało się – pomyślał, siedząc na jednym z foteli. Tuż za nim odezwał się męski głos;

– Nie obracaj się.

Bill milczał. Po chwili mężczyzna poklepał go czymś po ramieniu. Kiedy sięgnął po niewielki pakunek, głos odezwał się ponownie.

– Od teraz nazywasz się Sam Kowalski. Wykładasz na Uniwersytecie w Milwaukee. Masz żonę pindę, która zdradza cię z sąsiadem i dwójkę dzieci.

– Co jeszcze? – odburknął z pogardą Sam i przerwał wypowiedź tajemniczej postaci. A może był jeszcze Billem? Sam nie wiedział.

– I stulejkę, kurwa, jak ci coś nie pasuje. Może być?

– Stulejka?

– Masz coś przeciwko?

– Ni chuja – odparł Sam.

– Zajrzyj do dokumentów. Są tam najpotrzebniejsze informacje, których musisz się nauczyć. Data urodzenia żony, dzieci, przebyte choroby i podobne bzdety. Masz nawet prawdziwy numer Sama Kowalskiego, który nie odbierze telefonu przez najbliższe dwa tygodnie.

– Biedny Sam – odparł Bill.

– Podziękujesz profesorkowi innym razem.

– Raczej opłaczę. Ile mnie ta zabawa kosztuje…

– To twój cyrk, pamiętasz?

– Taaa… - pokiwał wpatrzony przed siebie.

Tymczasem kierowca forda wykręcił z parkingu i wysadził Sama tuż przy schodach, skąd, niezauważony okiem kamer, mógł spokojnie zejść na lotnisko.

***

Odprawa zaczynała się po dwudziestej drugiej. Sam spokojnie wyłożył swoje rzeczy na tacę: kluczyki, fałszywe dokumenty, telefon, a nawet przygotowaną na tę okazję kartę kredytową na fałszywe nazwisko (ale z zupełnie prawdziwym kontem z pokaźną zawartością). Spokojnym, ale stanowczym krokiem zbliżył się do bramki, licząc, że wszystko pójdzie gładko. Lata spokojnego życia w dostatku zupełnie zatarły w nim dawny gniew i żal. Gdy bramka zawyła, Sam spocił się niemal natychmiast.

Strażniczka wydawała się raczej znudzona. Zbliżyła się z ręcznym wykrywaczem metali, a następnie okrążyła nim postawnego faceta imieniem Sam Kowalski. Gdy znalazła się w okolicy krocza, wykrywacz dał o sobie znać.

– Wykrywacz metali, co? – rzucił Sam, unosząc brwi i patrząc na wyjącą, czarną pałkę z czerwoną diodą na czubku. Uśmiechnął się do strażniczki. – Pas cnoty – kontynuował, wskazując wzrokiem na własne krocze.

Witherspoon, bo tak miała na nazwisko, spojrzała tylko na niego i nie zareagowała nawet najdrobniejszą mimiką. Jej twarz była zupełnie skamieniała, jakby wykuta z kamienia, z którego wybudowano piramidy. Gdyby była trochę

szczuplejsza i wiedziała, co to mimika, mogłaby zostać niezłą aktorką – pomyślał o niej. Trudno. Nie tutaj. Nie teraz.

– Pasek – wskazała strażniczka, żując gumę o smaku wiśni.

– Aaa, pasek – pokiwał Sam. – No, dobra.

Zdjął go i dołożył do reszty rzeczy, a potem ponownie przeszedł przez bramkę, tym razem nie uruchamiając żadnego sygnału. Witherspoon ponagliła go i zabrała się za trzepanie kolejnego delikwenta. A mogłaby w tym czasie trzepać własnym tyłkiem po czerwonym dywanie. Nie w tym życiu – wciąż myślał o niej Sam, którego zimny pot oblał od stóp po czubek głowy. Myślał, że jest twardszy. Każdy myśli w ten sposób o sobie i każdy w końcu przekonuje się, że jest zupełnie inaczej. Grunt, aby zrobić krok do przodu. I on z każdym krokiem był coraz bliżej celu. Dokładnie przed celniczką. Kolejna kobieta siedząca za szklanym okienkiem, gdzie sprawdziła jego dokumenty. Nie było z nimi problemu. Były prawdziwe. To Sam był podrabiany, ale tego się głupia pinda nie spodziewała. Ha!

Ludzie w poczekalni uśmiechali się i wydzwaniali do swoich rodzin. Jakaś starsza pani strofowała swoje wnuki, a niewysoki jegomość weryfikował zawartość zielonej teczki. Słońce skryło się za horyzontem i tafla lotniska pobłyskiwała tylko pasem rozgrzanych lamp i halogenów. Przeszklony budynek dawał pogląd na horyzont i Lake Michigan. Kowalski uśmiechnął się pod wąsem, sztucznym wąsem, bo wiedział, że jest pięknie. I dobrze jest żyć. Życie to nagroda, którą cenił najbardziej. Jako Bill Waters, szanowany

biznesmen, walczył z instytucją dokonującą ponad sto tysięcy aborcji rocznie. Czuł nienawiść do ludzi, którzy skazywali na to te biedne kobiety i Bogu ducha winne dzieci. A życie jest piękne i należy oddać mu szacunek. Dbać o nie – tak właśnie myślał.

W końcu nadjechało to, na co wszyscy czekali. Niewielki autobus zawiózł ich pod schody prowadzące do samolotu i krok po kroku ludzie zaczęli wchodzić do środka. Stewardessa odwaliła swoją robotę i po szkoleniu z użycia pasów oraz maski tlenowej, Sam usiadł wygodnie. Fotel ugiął się pod jego potężnym ciałem, a gruby palec przetarł powieki – najpierw jedną, potem drugą.

Samolot szarpnął, a po chwili już unosił się w powietrzu. Kiedy znalazł się na pożądanej wysokości, stewardessa przechodząca pomiędzy siedzeniami dotarła do profesora Kowalskiego.

– Czy życzy pan sobie coś do picia lub jedzenia?

– Z chęcią. Wezmę to, co mi pani poleci. Proszę nic nie mówić i mnie zaskoczyć! – zarządził.

Stewardessa rozchyliła lekko usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale po chwili zamknęła je i tylko się uśmiechnęła, potwierdzając jego prośbę skinieniem. Gdy wszyscy otrzymali swoje zamówienia, Sam naprawdę poczuł się zaskoczony. Wyciągnął kciuk skierowany ku górze i uśmiechnął się do młodej stewardessy. Ta odwzajemniła jego gest oraz uśmiech. Byłaby lepszą aktorką niż Witherspoon. No cóż. Jej też nie było pisane – pomyślał.

– Dokąd pan leci? – zapytał go mały chłopiec, który wiercił się tuż przed nim.

– Tam, gdzie ty – odparł spostrzegawczo Sam. – Wszyscy tam lecimy.

– Nie ja. Ja nie wiem, gdzie lecę – odparł chłopiec i powrócił na swoje miejsce ponaglany przez babcię. Jego brat zdążył już zasnąć.

Tuż nad ich głowami monitor na suficie wyświetlał aktualne parametry lotu oraz zewnętrznej temperatury. Sam wpatrywał się w niego przez chwilę, a później zasnął, zmęczony fizycznie i psychicznie.

***

Samolot wylądował na lotnisku w Popradzie. Sam wydostał się wraz z innymi pasażerami na zewnątrz, a następnie wsiadł do taksówki, wskazując kierowcy palcem, w którą stronę ma się kierować. W końcu dobrnęli do komisu samochodowego, gdzie czekał na niego wózek w postaci zgniłozielonego Audi. Zarejestrowany na Piotra Hanko. Dobra. Mógłby być Piotrem. Kiedy wymawiał jego imię, zupełnie nie było słychać amerykańskiego turysty na fałszywych papierach. Jakby urodził się Piotrem. Dokładnie Piotrem Bogusławem Hanko.

– Cholera jasna! – krzyknął, wpatrzony w środkowe lusterko, a następnie otarł załzawione oczy i ze złością ruszył przed siebie. Droga prowadziła trasą E50 przez Koszyce, aż do granicy z Ukrainą.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

